

TRYSKA NIEPOWTARZALNY CZAR TROPIKÓW

1.

Och!... Metalowy ptak zniża się ku lądowisku.

Słońce przeciska się z trudem przez mięsistobure chmury i kładzie złote światło na pokrywającej miasto różnobarwnej pleśni oparów; tu i ówdzie z kleistego całunu wybijają się wieżycy przybytków kultu, pudła bloków, jakieś kopce – widać też Wawel; od wschodu dywan dymu flankują pracowite kominy i przyziemny tuman barwi się mieniącą pistacją. Z całokształtu gdzieniegdzie wytryskują fioletowe i żółte wiązanki, a peryferyjnie usytuowana rura w białe – czerwone pasy wystrzeliwuje w przestworza figlarne sine krupki.

Janko przeciera oczy i rozgląda się po kabinie. – Jest właśnie czas zapinania pasów. Przedstawiciele bratniego narodu Czarnego Łądu budzą się z drzemki, przeciągają, przyglądają, również przecierają. O! jakżeż bije od nich aura nieskalanej natury! Są pucaci, głowy kwadratowe, są czekoladopodobni – nosy rozłożyste, mięsiste uszy, łakome wargi. Rozpostarty na sąsiednim fotelu opasły Bratni chrząka kordialnie i rozwija w uśmiechu aligatorowe uzębienie. Tow. Janko odwzajemnia ten czyn z dystynkcją. W odzew czarnocielski towarzysz ściąga mięsiste wargi w ryjek i znacząco cmokta.

2.

Wczoraj – wczoraj! – w godzinach popołudniowych tow. Janko zadebiutował w powitalnym obrzędzie w skali globalnej. Nareszcie!

Goście wysokiego szczebla, natomiast bratni kraj – Ludowa Republika Wschodniego Chaju – raczej pośledniejszego gatunku. Ale on czekał na cud internacjonalistycznej inicjacji od lat, przez długie dekady marzył pożądaną, tęskniąc ustawicznie imaginował.

O jakże często! jak szczytnie i precyzyjnie! – będąc zupełnie niezasłużony podrostkiem Janko produkował na własny użytek wizje ceremoniałów powitalnych. Widział wtedy wszystko!:

Zatem: rzędy czarnych limuzyn, landa, ekwipaże, kurtyzowane kuce i jabłkowite srokosze, buicki i hispanosuizy, w centrum korpus wygwieżdżonych dyplomatów w pierogach, fraki, sakpałta, edeny, bermyce, misiurki, stiuki i ferklajdunki... a dyplomatowe storczykowate, z szelestem zwisające u ramion, powiewne, mimowolne, rafinowane, mimozowate, nurki i brajtszwance, kolie i delie... w tle słoneczniki trąb orkiestralnych, namiętne suzafony, występne puzony – a kapelmajster tnie palicą połączaną po gazie dookolnym, błyski kapią ciurkiem z batuty – ówdzie amarantowa kompania legii honorowej, czaka, chwosty, akselbanty, baretki, beretki, sznury, taśmy, szarfy, pasy, wisiory – spazm szamerunków, wodogrzmoty epoletów... niżej dzieci: w kwiatach, w organdyńce, ukanarkowane, tłuste, maziste, smarczne i wyrumienione, wąż się sypie, dziewczątka ryże, chłopaki jak pszenne ścierniska, leci – dalejże! – rzenie, pokwik, ciumkania, mamlania, i one w wierzgi, koziołkowanie, w przykuce, drobieńce, pocierania; dryblas nad wiek rozwinięty dłubie badawczo w twarzoczaszce...

Tak! Jankowe wizje bywały nadzwyczaj szczegółowe.

...po przeciwległej stronie notable: obfici, rozpostarci, buldożni, we włosach przedziaty jak drut, atlasowe płaszcze, orchidee w butonierach, krokodylowe teczki, bryczesy, french'e i trencze, ostrogi, inkrustacje, fontazie, merengi tudzież lśniące oficery... A ich damy boczkami, ciżbnie i chmarnie – istne chryzantemy! – w toczkach, jubkach, w mufkach, mitenkach i mufinkach, w czaprakach, w tiulach i narzutach – rozłożyste, lukratywne, spąsowiałe, istne kariatydy i siłaczki...

...na prawicy ordynaci i latafundyści – wodniści, płynni, introwertyczni, końscy i szpotawi, czamary z wyłogami, munsztuki, cuchy, cystoskopy, cwikiery, lorgniony, pikielhauby, wyloty u nich powyrzucane, pluszowe kierezyje, słuckie wędzidła, morbidez na twarzach, flegma, splin, wszystko klucznicy szambelańscy i wojewodzi maltańscy, przy służbowych berdyszach, buzdyganach, pikach... gdzieniegdzie – żaboty, złotogłów, welur, gronostaje – wszędzie kurdyban i baja!

W oddali na kształt szarej lamperii ściele się wierny lud.

I bucha melodia ludów roboczych...

...a Janko ścichapęk dobywa miecza i...

Pędzi... leci... w cwał... na oklep... powitać zupełnie tajne poselstwo przybyłe pocztą pneumatyczną z Mandżukuo.

Zaiste skąd w głowinie na poły analfabetycznej i jeszcze po dziecięcemu niedorobionej brały się wizje tak potężne tudzież przepełnione aż tak wzniosłą wyrazistością?!

Owo marzyło mu się dziecięciem. – Teraz Janko dojrzał i dorósł politycznie. – A więc?...

...stoją. Płyta lotniska. Zwarty oddział awangardy. Z tyłu: kompania honorowa, orkiestra, młodzież, dzieci, kombatanci, prowincjonalny aktyw; on z przodu, w pierwszej piątce – nareszcie! nareszcie!

Samolot kołuje, wolno, wolno, orkiestra ujmuje mocniej instrumenty, kompania na baczność, niebo zachmurzone, mży; maszyna nieruchomieje, podjeżdżają schodki – wychodzą...

...dziewięciu!; szare długie płaszcze, czapki uszatki, kołnierze karakułowe, szerocy, rozrośnięci, krzepcy – poniżej czapek ciemność! – tylko zęby i oczy jak spodki ...na końcu jakiś zupełnie mały. Ręce mają długie – bardzo!; dołem lśnią lakierki. Wiatr dmie, podwiewa, płaszcze topoczą, oni podnoszą dłonie – uśmiech!; zęby błyszczą animalnie, są już na ziemi, formują tyralierę, idą, idą na zbliżenie – oczy mają jak koła młyńskie!

Dygot przebiega przez Jankowe jestestwo, zwilża językiem spierzchnięte wargi. Już są blisko...

A orkiestra tusz... aktyw tusz... dzieci tusz... !

Janko zerka kątem oka na sąsiadującą w szeregu Kulturę i Sztukę. Ten jest rozluźniony, nonszalancki – weteran, dekady reprezentowania, w wyłupiastych oczach leży kamienny spokój, Jankowe ciało zaczyna drżeć, serce rozpycha się w gardle, po plecach pełzną strużki potu. – A czekoladopodobne twarze rosą w oczach – surowe, pryncypialne, władcze – ale też: serdeczne, postępowe i braterskie. Oni są tuż, o skok...

Zwierzchni Czynniki wysuwa się na czoło naszych, pozostała czwórka – o krok za... Zawierają szereg. Z tyłu, w dystansie, tłum podsekretarzy i zastępców. – Aktyw, orkiestra, działwa: forte!

Z bratniej tyraliery wysuwa się Najważniejszy; jest nieco niższy, węższy, szczególnie smolisty i długoręki. Nasi uchylają kapeluszy, oni zdejmują uszatki. Czołówki rozwierają ramiona, nastrój dąży do zenitu – jeszcze krok, jeszcze piędź...

...nareszcie! Przypadli do siebie! – Głowy wzajem pochylone na ramię, twarze przodują, oczy półprzymknięte, wargi półrozwarłe... Już się zespalają! Splątali kończyny! A słuzówki ust szukają się niecierpliwie!

W końcu (a wszystko na moment zacichło): cmok!!! – I jeszcze: cmok! cmok! – Huragan entuzjazmu. Przyjacielskość. Postępowość. Lewicowość.

Tedy nowa figura, wąż dubeltowy. – Formują się dwa szeregi, liderzy w centrum, złączeni dłońmi, w prawo rozciągają się goście, w lewo gospodarze. I raz... – lekki rozkrok, przedramiona w górę, ściśle objęcie – i dwa... – cmoknięcie, czuły rzut oka, dystans, zmiana partnera.

Janko stoi na prawej flance. Czeka. Długo.

Pierwszy dociera doń bratni lider: wargi spękane, nieco obślizgłe (cóż, to już piąta powitalna pieszczota), spojrzenie postępowe i władcze, oddech miły (*dry Martini* z kardamonem), pierś szeroka,

puchata, kończyny nadzwyczaj ruchliwe i chwytne, brzuch jędrny i wypukły. – Już energicznie obłapił, już ciśnie, przygina, przywiera, wpija się... a ssie mocno, z dozą brutalności, zaborczo, totalitarnie i militarnie, nawet jakby nieco podoficersko – natomiast Janko, pamiętny pryncypiów, podaje usta z poddaniem i oddaniem.

Drugi bratni wizytator jest ewidentnym intelektualistą: krawat oksfordzki, oczy myszkujące, gładki, chłodny, ościsty, markowa woda kolońska, zęby drobne perełki, tyłozgryz; wargi dość wąskie, aksamitne, suche i sprężyste; całus krótki, jak przez szybę, z dystansem, autorytatywny, pragmatyczny, nieco konserwatywny i kosmopolityczny, septyczny oraz typowo uniwersytecki.

Trzeci pada w Jankowe objęcia bratni senior. Jest tysy; błyszcząco tysy, dumnie tysy! Jest cały pomarszczony. Stopy ma rozłożyste, coś jakby kacze. Blizny na policzkach, blizny na ciemieniu. Ucho perforowane: jedno! – zadziwiające... Jest też szarosinawy, astmatyczny, dygotliwy; ale siła od niego bije. – Dopadł... tuli... ...wpił się!

Atoli – czy z nadmiaru uczuciowości, czy przez fuszerkę stomatologiczną – bratnia żuchwa na szczycie internacjonalistycznej pieśczoły strzeliła kłapnięciem tak rekinowym, że Janko – zdetonowany, złąkniony, zaambarasowany – odskoczył.

Stała nad lotniskiem cisza: nawet wiatr uwiadł. – Polityczny Czynn timer w krąg źrenicami pali, Kultura i Sztuka syczy, Związkowiec kwili, spod generalskiej czapki niesie się złowróźbne zgrzytanie; wiceminister gęgnął i znikł. – Obstaw a jednoznacznie sięga pod marynary, aktyw zawodzi, dzieci się mażą, młodzież w wytrzeszczu, słabsze jednostki w tłumie podsekretarzy zemdlone walą się na ziemię.

Lecz bratni senior jest jak wysokogatunkowa czarna pantera – chwyt a sytuację w lot: wypluwa protezę, zapada się w głąb, pręży i... hop! – jednym płynnym susem osiąga cel. Usta ma teraz wnicowane, dyszy z wysiłku – oj! ten całus nie zapowiada się bezproblemowo – chwyt a oburącz Jankową głowę, zbiera na pierś, przekrzywia, spycha, brzuchem fiksuje, a potem skłon – nisko, nisko – i wtula się, wnika powtórnie w Jankowe lico.

Zatem fala ulgi przepływa przez zgromadzenie, gdzieś buchają znane skądinąd oklaski.

Nastrój zmurzynienia narasta, czołówka in corpore zlewa się w uściskach, ceremonia szczytuje – do Janka zbliża się czwarty...

Ten jest pulchny. Jest jak wielka ciepła czarna latarnia braterskiej współpracy i przyjaźni; tkwi w nim też sporo z Piętaszka, negra Bambo i Chaty Wuj a Toma. Rysy twarzy ma obte, tęskne, księżycowe; oczy – oleiste, migdałowe; uszy – wiotkie, pokorne; czoło – gładkie, wypukłe; brwi – rozległe, zdziwione; włosy – buńczuczne; policzki – pucołowate; nos – wygimnastykowany; usta – otwarte; zęby – nieprzeliczone; po jego twarzy błąka się wyraz lekkiej nieostrości. Stoi przed Jankiem. Oblizuje się. Fala za falą biją od niego upał i serdeczność. – Już obejmuje...

...mięciuchno, jedwabiście, aksamitnie...

Pieści...

W tej wzniosłej chwili Jankowy umysł zapełnia bezalternatywny popęd internacjonalistyczny, w uszach przelewa się lewicowa pieśń braterska o katach i laniu. – Surmy! Kotły! Litaury! – Przez jaźń cwałują tabuny państwowotwórczych konstatacji.

Wparli się w siebie – sekundy trwają jak wieczność.

Delikatnie, niespiesznie i godnie, czekoladopodobne dłonie ujmują krzepko Jankową głowę... - i już! już! – dotulają się bratnie słuzówki, łączą postępowe wargi.

A jest ten akt polityczny czymś na kształt muśnięcia skrzydłem dość drobnego motyla, macaniem mgiełki o poranku, zamierającymi powiewami, a też również śladem woni jaśminu zza węgła – właśnie tak spija z Janka – zsypa, zsącza, scedza – pulchny czarnocielista wizytator esencję globalnej postępowości.

Aliści bijący od mrocznego kuzyna war rewolucyjnego ognia parzy, poraża, nadweręża słowiańskiego partnera, Jankowi kręci się w głowie, czuje – ewidentnie czuje! – że odchodzi od zmysłów, chce krzyknąć „proletariatusze wszystkich krajów...!”, ale nie może – zatchnięty, zagwoźdzony, wręcz zaplombowany – więc tylko jęczy. A Murzyn znowu i wciąż – po raz drugi, trzeci, siódmy... o! jakże szczegółowo, jak szczerze, spontanicznie i dogłębnie.

Wreszcie, na koniec, niechętnie, niespiesznie, w męce ciało odchodzi od ciała.

A oczy jak koła parowozu – i w ruchu poniewolnie stepują stopy – myśl płąsa – miękkie drżenie muskulatury – łomot serc bratnich – pot wali strugami – zwiotczenie, poddanie, bierność, iście totalna tristetza.

Tak! Tak właśnie było!

3.

Ten drugi (napomknięty na wstępie i późniejszy) samolot też podchodzi do lądowania. Pasy zapięte. Bratni w pogotowiu; tow. Janko spogląda na sąsiada i nagle czuje nieprzepartą chęć, aby mu – prosto i czule – powiedzieć:

„Drogi ciemnoskóry przyjacielu! Globalny lud roboczy przejął był po cesarstwie bizantyjskim ciepłą formę doustnego powitania i uwznioślił ją niepomiernie. Pocałunek międzypartyjny jest typem pozdrowienia zakorzenionym w najgłębszych pokładach jaźni postępowego świata pracy. Jak powszechnie wiadomo, czarny kolego, miniony proletariusz przeszłości miał ręce ustawicznie zajęte wytwórczością, dlatego właśnie światowy obóz lewicy przyjął skromny uścisk przywódczych ust za symbol braterstwa ludów pracowniczych. Właściwie rozumiana postępową pieśczętą nie jest nigdy błahą manipulacją w rodzaju zabaw zdegenerowanych obywateli czy czczą małżeńską igraszką, ale jawi się nam jako wielopłaszczyznowy akt ideologiczny rozgrywany na arenie międzynarodowej. Za zetknięciem się warg wysokiego szczebla kryje się z reguły problematyka globalna gogantycznego kalibru. Należy również napomknąć, afrykański przyjacielu, że ucałowanie przywódcze łączy w sobie wszystkie imponderabilia postępu w duchu współpracy, a to: – słodycz powinowactwa ideologicznego, rozkosz angażowania się w kolektyw, żądzę politycznej jedności, otwarcie na problematykę drugiego człowieka, sprzeciw wobec przesądów drobnomieszczańskich, słodkie umiłowanie dobrosąsiedztwa, stałe poszukiwanie wspólnego języka oraz pokojową walkę o usuwanie barier odgradzających obywateli.”.

Nie zdołał tow. Janko przekazać tego wszystkiego podniebnemu sąsiadowi. – Po prostu, jakoś tak wyszło...

4.

Samolot nadal zniża lot. Spowite zgniłą mgłą i dymami miasto wciąż jeszcze, choć już bliżej, ściele się u stóp. Mrocznocielista towarzysz dawno już nie cmokta. Teraz rozkwitł uśmiechem, kiwa głową na boki, delikatnie szturcha polskiego partnera i światło elektryczne błyska w jego uzębieniu miriadami gwiazd. Tow. Janko ogarnia pozaideowa tkliwość, „Moje Murzynki!” szepcze i sunie wzrokiem po smolistych twarzach, z rozrzewieniem powtarzając w myśli nazwiska i szczeble służbowe bratnich gości:

A więc czołówkowy wizytator – Józef Gmegme Turumba, rodzony brat przywódcy Ludowej Republiki Wschodniego Haju, poza tym premier i naczelny ideolog partii.

Drugie miejsce w hierarchii bratnich gości zajmuje Stanley Jones, minister spraw zagranicznych, pracy, płac oraz poczty i telegrafu, eks-emigrant i eks-renegat, obecnie szwagier przywódcy.

Trzecia lokata przypada Mumu Omajamu, przewodniczącemu Wszechchajskiego Związku Zawodowego Szamanów.

Na czwartym plasuje się – och! – Kaliban Okeke Bumba, szef Ministerstwa Ogłady Narodowej, szef Sądu Najwyższego i szef od Praw Obywatelskich.

Skład chajskiej delegacji uzupełniają:

Cadillac Ludumbda, minister oświecenia i gazyfikacji, gen. Adolf Mutoba Beobachter, mulat, dyrektor generalny Centrum Rewaloryzacji Moralnej, wybitni parlamentarzyści Wuju Ojaju i Sputnik Mahawahabuju oraz Glue M’Ba, prezes Patriotycznego Frontu Odnowionych Kacyków Pigmejskich.

Kaliban O. Bumba nadal kiwa się lokalnie i poszturchuje. Tow. Janko się uśmiecha. Opar skrywający Kraków zamknął się już nad nimi. Samolot jest tuż nad lądowiskiem. Wysuwa podwozie. Pochyla nos. Bardzo grubo ryczy

5.

Ludowa Republika Wschodniego Chaju:

Areał tego Państwa oscyluje gdzieś pomiędzy powierzchnią Belgii i Mongolii. Liczba ludności wydaje się być nieznana. Terytorium chajskie w całości pokrywa dżungla: liany, baobaby, szakale, palmy, pumy, rododendrony, hipopotamy, pytony, strusie, różne gryzonie, wielbłądy, eukaliptusy, pocętkowane hieny, grzechotniki, bawoły, krokodyle, marabuty, zebry, sępy, lamparty, kuce, papugi, słonie, żyrafy, małpy, małpki, muchy. – Stolica Khuttassu: jeden hotel, jedno lotnisko wojskowe, dwanaście kilometrów dróg, opera, dworzec kolejowy w budowie, gmach parlamentu, więzienia. – Gruntowne rozbiecie plemienne, 1362 narzecza, język urzędowy francusko-portugalski, zanikający. – Podstawy ustroju: Wschodni Chaj jest republiką ludowo-demokratyczną. Formy sprawowania władzy przez lud pracowniczy określa konstytucja z 1.IV.1982, zawieszona; rząd o typie dyktatury ludu *per procura* wspiera się na silnej klasie oświeconego szamaństwa oraz biedniejszej warstwie leśnych Pigmejów. Partia rządząca (Rewolucyjne Zrzeszenie Wcielonego Postępu) żarliwa, pryncypialna, bojowa, zwarta, zorientowana socjaldarwinistycznie. Terenowymi organami władzy we Wschodnim Chaju są Plemienne Kręgi Taneczne Deputowanych wybierane w równych, bezpośrednich i zupełnie jawnych wyborach na okres nieokreślony. Sądownictwo jest niezawisłe od wymiaru sprawiedliwości, a funkcję legislacyjną pełni Komitet Centralny, tzw. Wielki Krąg, urzędujący w permanencji. – Oświata: przed rewolucją 1982 istniały we Wschodnim Chaju nieliczne szkoły przy organizacjach kultowych; obecnie obowiązuje powszechne i skuteczne nauczanie wszystkich szczebli na odpowiednim poziomie; Uniwersytet Khuttasski dostarcza corocznie wykwalifikowanych kadr dla szkolnictwa, przemysłu i nauki. – Kultura i sztuka: jest tworzona przez zaangażowanych twórców na bazie doświadczeń lokalnych w duchu postępu i nowoczesności; ukazują się liczne czasopisma i inne publikacje, w tym organ rządowy „Bęben Ludu”; stołeczna opera przyciąga widzów zróżnicowanym i ambitnym programem taneczno-wokalnym; dzięki państwowemu mecenatowi wkład twórców chajskich w kulturę światową stale wzrasta.

Dzieje państwowości chajskiej można podzielić na cztery okresy:

- Era archaiczna (neolit) – do roku 1951
- Okres feudalny (cesarstwo) – od jesieni 1951 roku do wiosny 1978 roku
- Okres burżuazyjnego zamętu (dyktatura parlamentarna) – od 1978 roku do 24.VII.1982 roku
- Okres postępowy (republika socjalistyczna) – od 25 lipca 1982 roku (Wielka Chajska Rewolucja Marcowa).

Funkcję jedyne go zwierzchnika państwa wschodniochajskiego pełni od dziewięciu lat nieprzerwanie Wujoju Turumba. Ponieważ jego życiorys najpełniej odzwierciedla trudną drogę narodu chajskiego do nowoczesności, przedstawimy go pokrótce.

Wujoju Turumba urodził się na początku trzeciej dekady bieżącego stulecia w rodzinie prowincjonalnego zaklinacza deszczu. Mały Wujoju miał dzieciństwo trudne i smutne. Sytuacja materialna rodziny była zła. Stary Turumba nie mógł się pochwalić – pomimo sumiennosci zawodowej – zbyt wieloma sukcesami w pracy. Czasy by trudne (kolonialne), więc niedostatek często

zaglądał do chatki szeregowego regulatora aury. Stary Turumba, ustawicznie absorbowany przez patologie meteorologiczne, nie poświęcał należytej uwagi wychowaniu potomstwa i mały Wujoju większość czasu spędzał na samotnych spacerach po dżungli. Zazwyczaj poszukiwał artykułów pierwszej potrzeby i polował na drobne gryzonie. Być może właśnie wtedy ukształtowała się niepowtarzalna – pełna bezkompromisowej pryncypialności, szorstka, niezależna, zawsze świadoma reguł darwinowskiej walki o byt – osobowość W. Turumby.

W dwunastym roku życia w następstwie krwawej scysji z rodziną W. Turumba opuszcza wioskę i przez pewien czas błąka się po buszu, przeżywając boleśnie śmierć krewniaków. Po kilkunastu dniach trudnej wędrówki trafia do misji anabaptystów. Przygarnięty, pobiera tam wykształcenie w zakresie arytmetyki i alfabetyzacji. Ale szczęście wrażliwego chłopca nie trwa długo, wskutek krwawego nieporozumienia z preceptorami musi on opuścić anabaptystów. Gdy zaniechano pościgu, kontynuuje edukację w misji adwentystów dnia siódmego. Zostaje tam powtórnie ochrzczony i przeszkolony w zakresie czynności odchwaszczających. Podejmuje ochoczo pracę w charakterze pomocy ogrodniczej, ale przesady rasowe i tym razem dają znać o sobie – po kolejnej krwawej scysji mały Wujoju uchodzi do kwaków. Bawi tam krótko i, nie czekając na wyrok, przenosi się do metodystów. Potem odwiedza kolejno misje: prawosławną, ewangelicko-augsburską, katolicką oraz independentów-kongregacjonistów. – Jednakże życie w cieniu kleru nie pociąga go, wraca zatem do rodzinnej wioski i oddaje się bez reszty działalności społecznej, zapamiętane doskonalili się w czynnościach prawno-porządkowych, zgłębia życie i ćwiczy obserwację ludu.

W 1951 roku we Wschodnim Chaju zniweczony został ucisk kolonialny. – Wujoju Turumba niezwłocznie włącza się w budowę nowego ładu państwowego, podejmując służbę w oddziałach specjalnych policji. Pracuje w rodzinnej wiosce, początkowo na stanowisku pomocnika badacza, potem młodszego przesłuchującego. Od pierwszego dnia pracy wyróżnia się niecodzienną sumiennością i pomysłowością w wykonywaniu powierzonych zadań. Jest lubiany przez zwierzchników i szanowany przez kolegów.

Przełomowym momentem w karierze zawodowej W. Turumby stał się rok 1956. Odkrywa we własnej rodzinie rozgałęziony spisek antymonarchistyczny i samodzielnie go unicestwia. Zostaje bezzwłocznie awansowany i przeniesiony do tajnej służby pałacowej, gdzie wkrótce daje miarę swojego talentu, zdejmując maskę obłudy ze szwagra cesarskiego. W nagrodę ministerstwo tajnej policji przyznaje mu stypendium zagraniczne i Wujoju Turumba wyjeżdża do Europy.

Roczny pobyt w przodujących ośrodkach inwigilacyjno-penitencjarnych oraz robocze kontakty z luminarzami światowej myśli policyjnej wywierają głęboki wpływ na osobowość młodego stypendysty. Powracając na Czarny Łąd jest już Wujoju Turumba w pełnym tego słowa znaczeniu dojrzałym fachowcem – człowiekiem świadomym swoich możliwości i talentu. Nadal ustawicznie się samokształci, nie zaniedbując przy tym szeroko pojmowanej działalności demaskatorskiej i osobiście pracując nad każdym zatwardziałym przypadkiem. Awansuje szybko; ale przeciwnicy polityczni Turumby nie zasypiają owoców w popiele... rzucają, chcąc zbrukać kryształową postać badacza, potwarcze oskarżenia o zabór mienia i szpiegostwo na rzecz ościennego Odhuppaukanu, w następstwie czego stronnaczy sąd skazuje go na wieloletnie więzienie. Ta kropla goryczy przepętnia dzban cierpliwości – Wujoju Turumba postanawia wyzwolić lud chajski z imadła tyranii i wraz z grupą krewnych oraz przyjaciół rozpala w stolicy płomień antyfeudalnej rewolucji. Po kilku dniach

krwawych walk pękają okowy feudalizmu, cesarz zostaje obalony i powieszony, a Turumba obejmuje stanowisko dożywotniego prezydenta państwa.

Obalone cesarstwo prowadziło politykę na poły autarkiczną. – Eksportowano skąpo: orzechy kokosowe, drewno, skóry, owoce dziko rosnących palm oleistych i kaczuk; importowała wyłącznie rodzina władcy. Gdy gospodarce państwa groziła bessa, bank cesarski upłynniał na rynkach arabskich partię tłustych dziewic. Niestety, demokracja, szczególnie parlamentarna, jest kosztowna i młoda republika musiała się zwrócić do świata o pomoc.

W odpowiedzi na apel o wsparcie Francja zaoferowała szkolenie kadr, Portugalia wymianę chajskich produktów na puszkowane sardynki, Bank Światowy obiecał (ale nie dał), zaś za dotację otrzymaną z UNESCO z trudem udało się podciągnąć pod dach gmach stołecznej opery. Sytuacja gospodarcza kraju pogarszała się z dnia na dzień, zbiory konsumowano na pniu, wzbierała fala spekulacji wiadomym materiałem ludzkim, na prowincji stronnictwa wyżerały się między sobą, a pozbawione żołdu oddziały wojska i policji rabowały co się da. – Groziło najgorsze!... I wtedy prezydent Turumba podjął wiekopomną decyzję podniesienia na ziemi chajskiej sztandaru rewolucji socjalistycznej.

Już u zarzewia rewolucji pojawił się pewien poważny problem natury psychologicznej. Wychowanie misyjne wyźłobiło w umysłowości prezydenta Turumby rys szczególny – bezalternatywne umiłowanie działań metodycznych i od podstaw; w tej sytuacji tzw. „rewolucja znienacka” – bez narastającej fali społecznego wrzenia i samonakręcającej się spirali wyzysku, bez gnicia i degrengolady klas posiadających – nie wchodziła w rachubę. Należało zatem powściągnąć zapał rewolucyjny rządu i przystąpić do całościowej restrukturyzacji tła społeczno-politycznego kraju. Ale na to też potrzebne były pieniądze. Powiadomiono zatem centra światowego postępu, że chajski lud roboczy czuje nieprzepartą chęć dokonania dogłębnych przemian w duchu właściwie rozumianego rewolucjonizmu. Czekano. Nie na próżno. – I Wschodni Chaj wkroczył w trudny okres przygotowań do rewolucji.

Mankamentem demograficznym państwa wschodniochajskiego był zupełny brak proletariatu. Wszelako drobiazgi nie były w stanie osłabić rewolucyjnej determinacji prezydenta Turumby: chciał mieć proletariatus – więc zrobił go! Już wkrótce po sprawnej akcji wojska i policji w samym tylko stołecznym Khuttassu zarejestrowano ponad pięćdziesiąt tysięcy proletariuszy.

Dysponując bazą klasową rząd chajski powołał do życia specjalnym dekretem masową organizację wywrotową – Rewolucyjne Zrzeszenie Wcielonego Postępu – i jeszcze tego dnia uroczyście ją zdelegalizował. Partia zeszała w podziemie, okrzepła i zaczęła knuć.

W miarę jak tężała struktura klasowa narodu, rząd – początkowo na małą skalę, potem na większą – rozpoczął próby walki klasowej. W pierwszym rządzie wyłoniono spośród zasłużonych pracowników aparatu państwowego grupę etatowych wyzyskiwaczy – przeszkoleni w marażmie, ucisku, rozkładzie i gniciu moralnym, zostali udostępnieni społeczeństwu do wglądu. Równocześnie ostro przykręcano śrubę wyzysku i kumulowano kapitał w niezbyt czystych rękach. W fabrykach (z konieczności polowych) przedłużono dzień roboczy do dwudziestu czterech godzin i wprowadzono system czterobrygadowy. Na ulicach lotne ekipy wyzyskiwaczy demonstrowały wyuzdane sceny z życia klas posiadających, szczególnie obżarstwo, rozpustę i tarzanie się w zbytku, a grupy przeszkolonych przez policję wichrzycieli dokonywały spektakularnych aktów chuligańskich. – Gniew ludu, zgodnie z centralnym planem, narastał z dnia na dzień.

Po pół roku intensywnych przygotowań naród dojrzał i prezydent Turumba mógł ogłosić uroczyste otwarcie rewolucji. Tego dnia, aby podgrzać atmosferę, konne oddziały policji szarżowały na tłum. Wieczorem rząd podał się do dymisji, a punktualnie o północy gen. Gmegme Turumba (brat prezydenta) złamał w imieniu wszystkich sił zbrojnych przysięgę i przystąpił do rewolucji. Oddziały wojska i policji przy dźwiękach orkiestr fraternizowały się z ludem, tłumy grabiły przygotowane uprzednio skromne dobra konsumpcyjne i podpałały wyznaczone budowle. – Szło nowe!

Nazajutrz zorganizowano wielki wiec. Kaliban O. Bumba, szef utworzonego właśnie Ministerstwa Ogłady Narodowej, przedstawił pakiet obowiązujących reform. Postanowiono uroczyście znacjonalizować: przemysł, transport, pocztę, banki, ochronę zdrowia i oświatę – jeśli takowe we Wschodnim Chaju powstaną – oraz handel, też głowami, usługi szamańskie, dziewice i całą ludność. Mienie ruchome i nieruchome obywateli ulegało przypadkowi na rzecz państwa, a pieniądź zyskiwał status pełnej niewymienialności. Nadrzędnym i obowiązkowym celem wszystkich Chajczyków stawała się praca i postęp.

Wieczorem w gmachu stołecznej opery odbyła się uroczysta akademicka z okazji pomyślnego zakończenia rewolucji. Szeregowe masy bawiły się na rzęście oświetlonych pochodniami ulicach Khuttassu, tańcom, przyśpiewkom, samosądom, grabieży i innym przejawom rewolucyjnego ducha nie było widać końca. O północy nowomianowany dożywotni Wielki Maszynista Postępu, Wujoju Turumba, wezwał ukochany lud do rozejścia się. Skutek okazał się niezadowolający, więc po godzinie utworzona tego dnia milicja obywatelska ruszyła do akcji i Ludowa Republika Wschodniego Chaju wkroczyła na trudną drogę socjalistycznego rozwoju.

6.

Na czele grupy towarzyszącej Chajczykom w wycieczce po Polsce postawiono tow. W.C. Czynnika, członka najwyższych gremiów, zacieklego miłośnika porządku i zapalonego praktyka w dziedzinie dyscypliny społecznej. Ciąg dalszy ekipy stanowili Wieńczysław Pafawag, wicepremier i popularyzator moralności, oraz prof. A. Laokoon – płodny animator pionu prewencji umysłowej. Ariergardę teamu wcale nie mniej odstrasżającą, konstituowali A. Szaleniec, bojownik z państwowych związków zawodowych, oraz gen. Kubajce, organizator ładu duchowego w nadwiślańskim kraju.

I w końcu – ni z tego, ni z owego... ..tow. Janko !?

*Gdy ciężar uosabiania ludowej ojczyzny już ułożył się słodko na Jankowych barkach...
... gdy lube ziszczenie marzeń, co od kołyski rozjarzać winno jego umysł szczęściem i niezliczonymi racami szczęścia...
...wtedy zleciało – jak grom z jasnego nieba – na jego mentalność przedziwne rozdwojenie:
Od frontu : musująca radość, tężowe łuny triumfu, perlisty gejzer wesela.
W oficynach: miazmatyzujące rozdygotanie, uwiad światopoglądu i coś jakby poczwarny robak rewizjonizmu toczący zrzq świeckiej duszy.
A rozterką czołówkową jawił się bezsprzecznie tryb awansu jego osoby do reprezentacji krajowej.*

Ogół legalnie stowarzyszonych zaskoczony był decyzją powołania tow. Janko do roli...

Kluczowe grona sądziły, iż nie dojrzał on jeszcze do intymnych stosunków w skali ponadnarodowej, a wielu osiwiatych w bojach o świetlaną przyszłość towarzyszy twierdziło nawet, że Janko nie dojrzeje nigdy – że jest to ewidentny mistyk, ba, nawet stygmatyk materializmu dialektycznego, i zawsze będzie miał zielonkawo w politycznym rozumie. – Niemniej stało się! Jak Filip z konopii i wbrew pryncypiom – Janko reprezentował.

I właśnie w dzień tak dla niego cudny, w godzinach przedpołudniowych pojął w serii bolesnych błysków umysłu, że: nie osobisty powab ideowy... nie dozgonne oddanie problematyce ludowładztwa... nawet nie całokształt życia chlubnie zgodnego z wytycznym... ale zwykły niedowidzący traf do spółki z ludzką złośliwością wywyższyły go i inkorporowały do krajowej reprezentacji. – O co poszło?

Otóż żywiołowa żarliwość ideologiczna, mistycyzm materialistyczny i bezkompromisowość ontologiczna tow. Janko od pewnego czasu zaczęły uwierać szczytowe gremia, dogład zaś krewkich czarnoskórych pod niewinną pokrywką niósł ewidentne zarodki dorodnego niebezpieczeństwa – ciężkie inwalidztwo i gorzej włączając. I taka była w pulii pierwsza przesłanka; druga wyływała z tzw „problematu doc. Czeczy”.

Gdyby nie zadziwiający plon egzystencjalny, doc.Zenon Czacza nie dystyngowałby się szczególnie z dookolnego całokształtu:

Urodzony 7 listopada 1921 roku na Zamojszczyźnie w rodzinie małorolnych kominiarzy, szkołę ukończył, odznaczając się umiarkowaniem. Upadek sanacji przepędził w ukryciu. Potem przyuczał się do handlu. Wiosną 1945 poczuł pociąg do postępu. Wstąpił do KBW, potem do WUBP; działał też w OMTUR, a od lipca 1948 w ZMP. Delegowany na Zjazd Zjednoczeniowy przejął się głęboko wystąpieniem Jarosława Iwaszkiewicza i postanowił nieść Polakom kaganiec oświaty. Wkrótce trafił

do Szkoły Partyjnej przy KC PZPR. Kształcił się pod kierunkiem Bogusława Leśnodorskiego, Stanisława Arnolda, Adama Schaffa, Andrzeja Bursy i Maksymiliana Pohorille. W gronie 120 elewów nie wyróżniał się. Siedział w pierwszej ławce z E. Gierkiem, kolegował się z S. Wrońskim, J. Wiatrem i J. Szydłakiem, spędzał wolny czas – niestety – z H. Grossingerem.

Lubił szkołę. Przedpołudnia upływały mu na zajęciach obowiązkowych, popołudnia na pracy własnej i akcjach politycznych, wieczorami, w bursie przy ul. Belwederskiej, młody Czacza zapoznawał się z kulturą i sztuką za pośrednictwem dzieł Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Tadeusza Konwickiego, Jerzego Putramenta, Jerzego Andrzejewskiego i innych.

Zamieszany przez dwulicowego Grossingera w tzw. „sprawę gryficką”, poczuł się zmuszony przerwać karierę szkolną i przez kilkanaście lat oddawał się pracy badawczej na prowincji. Awansował pomalutku. W 1971 został habilitowany i powrócił do działalności naukowej. Nadal los mu nie sprzyjał. Ani uczestnictwo w rodzimej próbie obalenia teorii względności, ani liczne szczegółowe doniesienia nie spotkały się z należytyym rezonansem u władz zwierzchnich. Zniechęcony, przeniósł się do Piły. Położył tam wielkie zasługi w kształtowaniu etosu moralnego pilskich sfer naukowych. Karygodne zaburzenia początku lat 80-tych zastały go na wysuniętej placówce pilskiej w charakterze prorektora. Droga defenestracji został usunięty przez elementy skrajne ze stanowiska i przeżył to boleśnie. Porzucił więc niegościnną Ziemię Pilską i wyjeżdża na Wschód. Powróciwszy do kraju w grudniu 1981 zostaje decyzją władz centralnych oddelegowany czasowo do zagranicznej działalności naukowej we Wschodnim Chaju i tam bezzwłocznie włącza się w główny nurt przygotowań do rewolucji. Wykłada, świeci przykładem, wskazuje słuszną drogę, walczy na wysuniętych pozycjach; a gdy ostatecznie zwycięża postęp, wraz z czarną awangardą podejmuje trud gruntowania socjalistycznego ładu i moralności. Kształtuje, naucza, rozjaśnia; niebacznym na tęsknotę za ojczystymi realiami i dokuczliwości klimatu służy całym gorącym postępowym sercem młodej czarnej republice.

Władze ojczyste zadeklarowały przy wysyłce doc. Czaczę jako umysł giętki, cięty i interdyscyplinarny. Nawiasowo napomknięto też władzom chajskim, że ekspediowany towarzysz perfekcyjnie włada kilkunastoma językami Wschodu i Zachodu. Kto to zrobił i w jakim celu, trudno dziś dociec, ale właśnie ta, pozornie błaża, informacja stała się iskrą, z której rozgorzał całokształt problemu doc. Czaczy. Poliglotą był bowiem, owszem, ale oficer GRU przydzielony polskiemu badaczowi w charakterze rzekomego potomka. Niestety, ten fałszywy zstępny docenta, utalentowany profesjonalista, znikł gdzieś po kilku tygodniach – zupełnie! - a pogrążonego w bólu docenta powiadomiono, że syn padł na posterunku – być może ofiarą krokodyli. – Poliglotyzm w ten sposób znalazł kres w gardzielach żarłocznych bestii.

Fakt ów, początkowo oceniany przez doc. Czaczę jako marginalny, zbiegł się w czasie z nagłym zboczeniem partii chajskiej na pozycje skrajnie nacjonalistyczne. Zadekretowano wiodącą rolę murzyńskości, niższość ras jasnych i pełną samowystarczalność chajskiej gospodarki, nauki i kultury. W zaistniałej sytuacji kontrakcja bratniego intelektu ustała, a uprzednio zaimportowani badacze zaczęli tak gwałtownie zanikać, iż już po tygodniu afrykanizacji w całym Wschodnim Chaju ostali się tylko doc. Czacza i bułgarski stypendysta w dziedzinie myrmykologii stosowanej, obydwaj – jak na Słowian – o wyjątkowo ciemnej karnacji. Ale niezadługo smagły Bałkańczyk też się gdzieś rozpułnął i władze chajskie zakomunikowały polskiemu badaczowi z ubolewaniem, że bratni stypendysta zdradził sprawę postępu i na latawcu własnej konstrukcji umknął do Izraela. Czacza ostał się zatem w Chaju sam, w sensie rasowym i językowym.

Na szczęście polityka jest żywiołem płynnym i z dnia na dzień decyzja prezydenta Turumby wyciszyła w łonie Wschodniego Chaju pływy nacjonalistyczne. Zdelegalizowano samowystarczalność, odcięto się od murzyńskości i wyrażono gorące pragnienie czerpania pełnymi garściami z rezerwuaru światowej myśli postępowej. Ale coś – jakby nieufność – wstrzymywało bratni intelekt od odwiedzin we Wschodnim Chaju i doc. Czacza tkwił tam nadal w zupełnym kolorystycznym osamotnieniu.

Przezwyjącywszy odchylenie, odnowiona partia chajska zadeklarowała – między zdaniem, acz z naciskiem – wolę przeprowadzenia powszechnej edukacji lingwistycznej narodu; nacisk był silny i doc. Czaczę, teoretycznie poliglotę, postawiono przed bezkompromisową alternatywą: albo zapozna naród chajski z językami globalnie użytecznymi, albo przejdzie w stan wiekuistego spoczynku. Docent wybrał mniejsze zło, jednak w efekcie stanął twarzą w twarz z problematyką niewyobraźalnie trudną, można by nawet rzec nierozsupłowywalną. Był Czacza bowiem w rzeczy samej poliglotą dość umiarkowanym: poza mową ojczystą dysponował raczej wierzchnią zażyłością z językiem rosyjskim i ogólnym osłuchaniem w dialektach anglosaksońskich; jest to substancja językowa wystarczająca dla prowadzenia dydaktyki społeczno-ekonomicznej w buszu, aczkolwiek nieco zbyt kusa, by egzystować jako samodzielny przedmiot wykładowczy. Fakt, że polski badacz się uporał... że, wzięwszy się za bary, jednym ciosem rozplątał, dowodzi – jakże widowiskowo – wspaniałości materiału ludzkiego tworzącego zrąb polskiej nauki.

Jeden imperatyw przepętniał umysłowość doc. Czaczy, gdy podejmował decyzję, a siepacze chajscy już czekali u wejścia do służbowej garsoniery – imperatyw „dobrej roboty”. Reguły „dobrej roboty” to odrzucenie precz – bierności, nieruchawości, rutyniarstwa, safandulstwa, opieszałości, nieskuteczności, tandeciarstwa, ślamazarności, warcholenia, niedoęstwa, niesumienności, niepunktualności oraz wszelkich wtrętów, fuszerek, strzępów, skaz i defektów. Zatem zaczął doc. Czacza – zręcznie, cierpliwie, uparcie, metodycznie, wydajnie, gorliwie, dzielnie, energicznie, precyzyjnie, operatywnie nauczać – naginając posiadany materiał językowy do zapotrzebowań czarnoskórych uczniów. Naginał, naginał - aż pośród afrykańskiego buszu, zupełnie niespodzianie i mimowiednie, rozkwitła oaza rozparcelowanej pod różne szyldy polszczyzny.

Czy zasiew polonizacyjny doc. Czaczy okazał się trwały? Czy chajska awangarda postępu, towarzysze w szerokim świecie bywali, zdemaskowała i obdarła z mimikry schedę dydaktyczną po polskim badaczu?

I tak, i nie.

Nowoczesne państwo rządzi się prawami dialektyki spiralkowej i każda jedność przeciwieństwa nad wyraz je krzepi. Naczelnym aktywnym chajski dostrzegał krańcową oryginalność języków propagowanych przez doc. Czaczę, wszelako sferom rządzącym zawsze i wszędzie przyświecają cele wyższe od prymitywnego utylitaryzmu. Dodatkowo polski badacz, raz zdecydowawszy się na ryzykowny krok, z miejsca poszedł za ciosem i ugruntował pozycję zawodowo-społeczną przechodząc z ateizmu na totemizm i wżenając się w biuro polityczne, rząd, służbę bezpieczeństwa i armię; podobno nawet szerniał. – W tej sytuacji stało się obojętne, czego naucza.

Dalszy los doc. Czaczy okrywa coś na kształt faktograficznego przymglenia. Jeszcze wiosną 1988 roku powierzono mu zaszczytną funkcję rektora uniwersytetu khuttasskiego, jeszcze w rozmowie z polskim dziennikarzem zapowiadał rychłe odwiedziny w Ojczyźnie... Wtem, niespodzianie i tragicznie, rozpląnął się w niebycie podczas samotnej wycieczki do dżungli, pozostawiając w nieutulonym żalu

żony, współpracowników i cały wiodący aktyw polityczny Chaju. Wszystko wskazuje na to, że droga życiowa polskiego naukowca znalazła swój kres w paszczy nieświadomionego politycznie drapieżcy. Zastanawia jedynie pewien zbieg okoliczności: - Otóż wkrótce potem na arenie politycznej ościennego Odhuppaukanu pojawił się M'Bwana Beguina, osobistość z miejsca bardzo wpływowa i (jak wieść dyplomatyczna niesie) obdarzona przez dobre Mzimu znajomością wszystkich języków świata.

Mistrz odszedł, ale problemat pozostał – elita chajska mówiła po polsku!

A przesłanka? Wiadomy motyw trafu?

Otóż Nemezis, wstawiając tow. Janko do ekipy powitalnej, kierowała się również względami genealogicznymi. Tak się bowiem dziwnie składało, że był on powinowatym w czwartym stopniu doc. Czaczy, zatem przez wzgląd na sprawiedliwość dziejową Partia zadecydowała, że kuzyn winien pić to, co pociotek na Czarnym Łądzie uwarzył.

7.

*Już!... koła metalowego ptaka znów dudnią po betonowym pasie.
Już są! – Bratni zaistnieli w Krakowie, Janko z...*

W oddali budynek dworca lotniczego zgrabnie majaczy. Maszyna kołuje. W kabinie ruch – aż czarno: odpinają pasy, porządkują czupryny, glansują lakierki. Pulsuje migot nerwowego krzątania.

Kraków wita. Furkoczą biało-czerwone flagi, ciepło lśni spękany beton, tynki wachlują się filuternie odpadającymi płatami, bure trawniki parują serdecznością, wiatr wesoło świszczce w badyłach chwastów, a miriady błotnistych kałuż mrugają porozumiewawczo mętnymi oczkami. – Banderie. Senat. Wytapiacze. Brać kurkowa. Cekiny i ciupagi, krakuski i koloratki. – Na moment słońce przebija się przez chmury i zgliwiały całokształt tęczowieje.

Kaliban O. Bumba przeciąga się i uderza w pierś kułakiem. – Negr brzmi jak dzwon! – Beobachter się stroszy. Kultura i Sztuka hurka z nosogardzieli wytwórczo. Pafawag odęty. Rozwija się i wygładza Sputnik Mahawahabuju. Mumu Omajamu szczybie stewardessę w lewy tyłek; ona czerwienieje... Pigmej jeszcze śpi! Tow. Czynniki wierci wzrokiem rzeczywistość. Kubajce przymarszczony. Pigmej nadal śpi. Kubajce się rozchmurzył a Pigmej obudził – ziewa, ziewa, ziewa. Słońce rejteruje – dworzec majaczy – nad kabiną zwisa oczekiwanie – samolot wyhamowuje.

Tow. Janko wie: ostatni czas! Zbiera się w sobie, koncentruje...

...teraz! – Trąca szczytem łocia smolistego druha. Niebieskawe spodki oczu niespiesznie zataczają półokrąg i wpijają się w białego brata. Ociekają nadzieją. A samolot coraz wolniej...

Zatem Janko wysuwa do przodu głowę, zwiija twarz w lejek, ściąga kąciki ust, tęży podniebienie, oczy przymknął, i cichutko, mimochodem – cmok, cmok...

Potem cisza...

Znienacka – Janko aż oczom nie wierzy – twarz Kalibana O. Bumby rozpełza się na boki i gdzieś z jej głębi tryska kaskada perłopodobnych rozbłysków. Tak, tak! – Kaliban się cieszy! Czerni lica znika, migocze tylko krąg zębów i pulsujący w nim płomień języka, a z krtani wali rumor. Tak! – Kaliban się raduje!

Huczy ta tropikalna wesołość jak górski potok po burzy, sunie, leci lawinowo, bulgotom towarzyszy hurkot, powódź śmiechu rozprzestrzenia się niwelując powagę i ład, fale głosowe walą o ściany, zalewają kabinę, poddają sobie wszystko i wszystkich. – Och! Jakże jest Kaliban w tym śmiechu piękny i dziki!

Dźwięki tłuką w Jankowy mózg, rezonują, wprawiają szare komórki w jakąś tajemną i chorobliwą wibrację, coś na niego włoży z butami, coś za serce chwyta i drze, chyba to postęp, lecz kto wie, może tylko rozdokazywanie. – *Czuj duch tow. Janko! Naprzód!* – Śmiało usta otwiera, pompuje się, pompuje – już napina gardło i... - inauguracyjnie, płochliwie, podskórnice: – He, hee, heem...

To nie wystarcza! Więc się mocniej zbiera w sobie i z pełnym zaangażowaniem: – Hu, huu, huuum...

Wreszcie idzie na całość; piorunnie, z duszy, z trzewi: - Chęte...chęte... chęte...

I dalejże...

...toczy się słowiańska rozdokazywana radość, zderza się z Kalibanowym dudnieniem, wraz się splatają i bratają, raz jedno na górze, raz drugie, charkot kuma się z pohukiem, kwiki z gulgotaniem, śmiechy ciągle tężeją, tężeją, są już jak dzwon – zarażają i zakażają w krąg.

Śluzę pękają! – Śmieją się! Śmieją! Wszyscy!!!

Kosmiczny ryk toczy się po podniebnej maszynie.

Szef delegacji chajskiej puszcza dystyngowane „hohoho”.

Wyprężony jak struna oksfordzki Jones cedzi w wiolinach „hihihi”.

Mumu Omajamu, senior i centralny szaman, nadął się i ciągnie gdzieś z brzucha „hołohołohoł”.

Popielaciały na twarzy Cadillac Ludumbda dzierga na jednym tonie – upiorne – „pfgjhii...”

Generał Adolf Baobachter, strzelając rytmicznie obcasami, rechocze dziarskie „ehuehu”.

Wisząc gdzieś pod sufitem, Wuju Ojaju prycha ogłuszająco i klaszcze, a wytrzeszczony do końca Sputnik Mahawahabuju wtóruje rozigranemu towarzystwu wizgiem w ultradźwiękach.

Tylko tow. Pigmej cichy: zaplątawszy szyję w pasy, radośnie pokrywa się pianą.

Nasi usiłują się oprzeć zarazie, lecz nie mogą. – Idą w trop:

Tow. Czynniki pobekuje tubalnie.

Pafawag krztusi się sardonicznie.

Prof. Laokoon piszczy półgębkiem.

Szaleniec rzęzi.

Gen. Kubajce, jak rozdokazywany pluton egzekucyjny, pryska salwami ognistej radości.

Nawet stewardessy pokwikują!

Powszechne ustne wyuzdanie! Gejzer chichotliwego wesela! Sabat rozrywki! – **Wszędzie perli się i tryska niepowtarzalny czar tropików...**

Samolot nieruchomieje i śmiech powoli przygasa.

Jeszcze gdzieś po katach błędzą zduszone pomruki, jeszcze tu i ówdzie parskanie skołowane echo...

I cisza.